Nr. 87. Lwów, Niedziela 30 Listopada 1879. Rok II.

DZIENNIK DLA WSZYSTKICH

CZASOPISMO ILLUSTROWANE — WYCHODZI CO TYDZIEŃ

Prenumerata wynosi we Lwowie:		Na prowincji (z przesyłką pocztową):	
rocznie	9 zł. 60 ct.	rocznie	12 zł. — ct.
półrocznie	4 „ 80 „	półrocznie	6 „ — „
kwartalnie	2 „ 40 „	kwartalnie	3 „ — „
miesięcznie	— „ 80 „	miesięcznie	1 „ — „

W Poznańskiem i Prusach 6 marek kwartalnie. — We Francji i we wszystkich innych krajach 8 fr. kwartalnie, które przesłać należy przekazami pocztowymi.

Z Poznańskiego i Prus można przesełać prenumeratę przekazami pocztowymi lub prenumerować w księgarni J. K. Żupańskiego w Poznaniu.

Numer pojedyńczy 25 ct.

Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy.

Redakcja i Administracja **Dziennika dla Wszystkich** przy ulicy Rzeźbiarskiej Nr. 1. A (Łyczaków), gdzie się przyjmuje prenumeratę i ogłoszenia. Prenumeratę z prowincji i z innych krajów przesełać należy przekazami pocztowymi franco pod adresem: Do Administracji **Dziennika dla Wszystkich** we Lwowie. — Listy powinny być frankowane.

Za granicą ogłoszenia przyjmują: w Wiedniu: Haasenstein et Vogler Wallfischgasse; A. Oppellik Stubenbastei 2; Rotter et Comp I. Riemergasse 13; Daube et Comp. Maximilianstrasse 3; w Frankfurcie n. M., Berlinie, Wrocławiu, Hamburgu, Brunświku i w Szwajcarji: Haasenstein et Vogler; w Paryżu: ajencja p. Adama rue Clement 4; w Peszcie: ajencja ogłoszeń Langa.

Właściciel i naczelnie kierujący częścią literacką i administracyjną: M. D. Chamski.



DR. KAROL ESTREICHER

PROFESOR UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO I DYREKTOR BIBLIOTEKI JAGIELLOŃSKIEJ W KRAKOWIE.

(Rysowane podług fotografji z zakładu p. Rzewuskiego w Krakowie)

O „DZIADACH"
ADAMA MICKIEWICZA
SZKIC LITERACKI

napisał

ZORJAN.

(Ciąg dalszy).

Niepodobna, mówiąc o „Dziadach", nie wspomnieć o bajronizmie. Najróżnorodniejsze sądy splotły Byrona i byronizm z autorem „Dziadów" i „Dziadami", tak wiele mówiono o wpływie wieszcza Albionu na naszą poezję, iż i nam mimowolnie cisną się uwagi pod pióro, które bodaj w kilku słowach streścimy.

Wielkie genjusze tę mają moc nad duchami rodaków, czy obcych, że porywają ich głębokością swoich pomysłów, zachwycają ich pięknem swych dzieł, przykuwają prawie do swych stóp całe pokolenia współczesnych. To jest najwidoczniejszym objawem ich boskości.

Byron, który może bardziej od innych genjuszów był wynikiem ducha czasu nie jednego narodu, ale całej Europy, wywierał naturalnie tem silniejszy wpływ. To też wpływ ten był rzeczywiście niesłychany. Miljony pokrewieństwem ducha i myśli porwane oddychały tylko tchem Byrona, więcej jeszcze: nierozumiejąc znakomitego wieszcza nawet jakąś niewytłomaczoną siłą parte ku Byronowi, były najgorliwszymi jego zwolennikami.

Nie dziw więc, że i u nas znalazł Byron wielu zwolenników, wielbicieli; ba nawet więcej był u nas Byron uwielbiany z entuzjazmem graniczącym o fanatyzm. Przyczyn nie daleko szukać. Najlepiej wypowiemy to słowami autora „Bajronisty":

„Krwawa rozpacz angielskiego lorda do niejednego z serc naszych przemówi: bo uosobiony smutek błądzi dzisiaj po wszystkich umysłach, czarna żałoba oblewa łzami niezarośnięte groby, tęskne westchnienie wydobywają się z piersi i ulatują na dalekie pobojowiska, aniol-stróż naszego sumienia zamienił się w posąg bronzowy i ze zgaszoną pochodnią stanął na grobie! A kiedy ojcowie trawią całe noce na myślach żałobnych, kiedy matki zapłakane swe oczy obracają ku grobom swych braci: cóż się dziwić, że ich dzieci już się rodzą ze łzami w oczach i krwią zapieczoną przy sercu, a kiedy dorosną, to im się przewidują same sny straszne i przerażające widziadła".*)

Tak charakteryzuje Kaczkowski pokolenie nasze współczesne Byronowi, takiem było ono w istocie — cóż więc dziwnego, że i w poezji spotykamy się z tak nazwanym bajronizmem. Poezja: to źwierciadło duszy narodu lub społeczeństwa. Te cechy nosi nasz poemat, ztąd też spotykamy w nim owe byronowskie barwy, ów koloryt cechujący poezją Byrona. Uwydatnia się on tu i owdzie, nie zacierając piętna oryginalności w całem tego słowa znaczeniu, bo to cośmy przyzwyczaili się byronizmem nazywać w dziełach równej Byronowi potęgi wieszczów, jest wynikiem owego ducha tkwiącego w dotyczącej epoce w narodzie naszym w wyższym jeszcze stopniu, jak w piersi poety, opuszczającego ponury Albion, aby walczyć za wolność potomków Hellenów. Że Byron był pierwszym, który był rzecznikiem wspomnianych idei, że on był twórcą formy, często ściśle zrosłej z duchem treści, pozwalamy na nazwanie bajronizmem tych równoległych myśli i zbliżonych form, jakie spotykamy w „Dziadach", nigdy nie godzimy się na nazwę k o p j i, bo genjusz genjusza n a ś l a d o w a ć nie może. Naśladowania wydały karykatury, jakich i w naszem piśmiennictwie dość; zbliżenie w dziełach dwu wieszczów jest wypływem owej j e d n o ś c i w r o z m a i t o ś c i kształtów, w jakie duch i piękno się przeoblekają w tworach mistrzów od Homera po Mickiewicza.

Tyle byronizmu w „Dziadach".

* * *

Poświęciliśmy tych kilka uwag, z przyczyny, że, jak już wyżej zrobiliśmy wzmiankę, czyniono Mickiewiczowi wielokrotnie zarzuty, podnoszące przez nas poruszone kwestje. Nie rozbieraliśmy zarzutów poszczególnych autorów, przechodziłoby to zakres szczupły niniejszego szkicu, notujemy tylko w końcu, że zarzuty wspomniane czynili Mickiewiczowi między wielu innymi: M. Mochnacki (indywidualizm i naśladowanie, dokończenie „Werthera"). Gołębiowski, J. Majorkiewicz (bajronizm) i Kraiński, wszyscy trzej targający się na narodowość poety, nie chcieli dopatrzyć się najściślejszego węzła łączącego naród z wieszczem. (Majorkiewicz i Kraiński usiłowali podobnie, jak Gołębiowski obedrzeć naszego wieszcza z aureoli, jaka go otacza, z aureoli genjuszu prawdziwie narodowego; ta tylko różnica, że kiedy u Gołębiowskiego spotykamy pozornie słuszne argumenta, u M. i K. co krok natrafiamy na absurda. „D z i e j e n a r o d u p o l s k i e g o i P o l s k a z g r o b u" (Wrocław 1859) są stekiem bluźnierstw rzuconych nie tylko Mickiewiczowi, ale całemu narodowi, są hańbą piętnującą autora (K r a i ń s k i e g o) znamieniem niecności i idjotycznego upadku, pokrywającego się płaszczykiem miłości ojczyzny — patrjotyzmu).

Niektóre z tych zarzutów dość często są powtarzane, a choć ich autorowie już ustąpili z pola walki, znajdują one odgłos aż po dnie dzisiejsze, bo widzimy je powtórzone w części w dziełach nowszych, jak J. T u r c z y ń s k i e g o (naśladowanie Wertera i Fausta), B e ł c i k o w s k i e g o (Werteryzm) i innych.

* * *

Pierwszą część „D z i a d ó w" stanowią fragmenta luźne po większej części; są tu dopiero rzucone myśli, mające potem przeoblec się w wyraziste kształty. Znajdujemy tu zarówno urywki powtarzające się z zmianami w części drugiej i czwartej i trzeciej, jak i myśli, z któremi następnie w dziele nigdzie nie spotykamy. W urywkach tych próbował poeta, że się tak wyrażę pióra, są to pojedyńcze akordy, które muzyk wydobywa wpierw nim je rozwinie, spłącze i zleje w harmonijną całość. Powstałe one widocznie w różnych chwilach, a możnaby się domyślać, że miał poeta jeszcze inne, nie przekazane nam w pozostałych po nim utworach. Na myśl tę wprowadza nas opis z listu Mickiewicza do B. Zaleskiego (1840):

„Napisałem, albo rzuciłem na papier kilkadziesiąt wierszy w celu robienia pierwszej części „Dziadów". Owoż rzecz taż sama. Chłopiec tula się między mogiłami. Tylko u mnie fantastyczniej, bo śpi, a chóry nad nim nucą piołuny siwe i lebioła i ślimaki etc. etc. Inspiracja mnie opuściła i przestałem pisać".

Druga część odbija się zupełnie w obrazku „Dziadów", w chórze młodzieży; część czwarta zarysowuje się w kilku urywkach, w których spotykamy się z warjantami myśli i obrazów tejże części. Tu zaliczyć należy ustep:

„A niechajże ją krewni poradą, lub władzą,
Zalotnemu kupcowi ślubem zaprzedadzą:
Niewinna, nieznająca, niewidząca, głucha,
Jakąż będzie?... Wstyd mówić, choć mię nikt nie słucha!
O dusze miałkie, raczoj bezduszne szkielety!
Czerpające moralność całą z etykiety".

Znajdujemy tam myśli, w tak piękne przyobleczone kształty, że śmiało mogą walczyć o pierwszeństwo z najudatniejszemi w poemacie. Przytaczamy tu ustęp, którego treść w części się powtarza w monologach Gustawa, charakterystyczny z tego względu, że przebija się w nim dążenie poety do ujawnienia przyczyny, dla której łączy dzieje miłości Gustawa z obrzędem „Dziadów".

„Kto błądząc po życia kraju
Chciał pilnować przestróg drogi,
Choć mu los wedle zwyczaju
Wszędzie siał ciernie i głogi,
Nareszcie po latach wielu,
W licznych troskach, w ciężkich nudach,
Zapomniał o drogi celu,
Aby znaleźć wczas po trudach;
Kto z ziemi patrzał ku słońcu,
Myślą z orły szedł w przeloty,
I nie znał ziemi, aż w końcu
Kiedy padł w otchłań ciemnoty;
Kto żalem pragnął wydźwignąć
Co znikło w przeszłości łonie;
Kto poznał błąd swój niewcześnie,
O gorszej myśląc poprawie —
Mruży oczy, by żyć we śnie
Z tem, czego szukał na jawie;
Kto marzeń tknięty chorobą,
Sam własnej sprawcą katuszy,
Darmo chciał znaleźć przed sobą,
Co miał tylko w swojej duszy;
Kto wspomina dawne chwile,
Komu się o przyszłych marzy:
Idź ze świata ku mogile,
Idź od mędrców do guślarzy —
Mrok tajemnic nas otacza,
Pieśń i wiara przewodniczy!
Dalej z nami, kto rozpacza,
Kto wspomina i kto życzy!"

Z tych luźnych fragmentów dziś trudno nam odgadnąć myśl poety. Czem jest ta pierwsza część „Dziadów"? Sąż to pomięszane kartki teki, wydarte i porzucone, jako przerobione warjanty, czy może materjały do nieutworzonej uwertury tej wielkiej pieśni? Tak, jak je przed sobą mamy,

*) Z. Kaczkowski: „Bajronista" tom I. str. 115.

to: garść brylantów, których ręka mistrza nie ukształtowała ostatecznie, nie utworzyła z nich zamierzonego klejnotu, tylko w pośpiechu rzuciła je na szmat purpury?...

Tyle o fragmentach. (C. d. n.)

Kronika krajowa.

† We Lwowie zmarł w tych dniach ś. p. Kornel Tarnawski dr. praw i prezydent wyższego sądu, przeżywszy lat 51. Zmarły cieszył się ogólnym szacunkiem i nieskazitelnym charakterem, jako urzednik i obywatel. Urodził się w Stanisławowie, gdzie uczęszczał do gimnazjum, a we Lwowie kończył uniwersytet. Nauka praktyczna prawa traci niepospolitego pracownika — kraj i społeczeństwo polskie wiernego syna. Cześć jego pamięci!

† Doszło nas zawiadomienie z Paryża, że umarł tam Teodor Morawski, były minister z r. 1831, liczący lat 82; pogrzeb jego odbył się 24 b. m. w Paryżu. Zmarły, oprócz kilku innych prac publicystycznych, był autorem wybornego dzieła: „Dzieje Polski“.

† Wiktor Barański, malarz akwarelowy i pastelowy, umarł w Krakowie d. 16 b. m. Prace jego znajdują się przeważnie w Paryżu i Londynie.

† Hr. Kaź. Czapski zmarł w Wielkopolsce. Zmarły był kapitanem w powstaniu 1863 r. Był on synowcem znanego M. Czapskiego, właściciela Kiejdan na Żmudzi, które rząd rossyjski darował jenerałowi Todtlebenowi, a zesłał właściciela na Sybir.

† Zmarl w tych dniach Ksawery hr. Branicki w podróży po Egipcie, którą odbywał ze znanym profesorem Wagą. Zmarły, jak wiadomo, łożył znaczne sumy, na cele naukowe, i sam był autorem kilku prac. Imię jego zapisane będzie pomiędzy dobrze zasłużonymi swojemu rodzinnemu krajowi, chociaż ciągle prawie przebywał na obczyźnie.

Z inicjatywy redakcji „Przyjaciela domowego“, a raczej redaktora tego czasopisma, p. Martynowskiego, założyło się we Lwowie stowarzyszenie pod nazwą „Spójnia“, które będzie miało za cel ochronę handlu, przemysłu i gospodarstwa krajowego od przewagi zagranicznej, oraz rozbudzenie życia ekonomicznego w kraju. Statut tego towarzystwa już zatwierdzony został przez namiestnictwo. Pożądanem jest, aby jak najliczniej do tego towarzystwa zapisywano się na członków. warunki bowiem są bardzo przystępne. Dowiadujemy się, że wkrótce zwołane zostanie zgromadzenie zapisanych już członków, na którem uchwaloną zostanie organizacja towarzystwa. Czekać więc będziemy tego zebrania, aby mieć możność w obszerniejszych i dokładniejszych zarysach podać wiadomość o tej pożytecznej instytucji czytelnikom naszym.

W Warszawie powstać ma wkrótce instytut politechniczny.

Zakład ten zawdzięczać będziemy obywatelskiej inicjatywie p. J. G. Blocha, który wystąpił ze stosownym projektem, zajął się jego przeprowadzeniem i zapewnił instytucji środki materjalne.

Z wojennej statystyki Austrji.

Na 872.616 żołnierzy, którymi rozporządza monarchja habsburska, na jeden tysiąc, 273 tysiecy należy do narodowości niemieckiej, 177 do węgierskiej, 470 do słowiańskiej (191 czechów, morawian i słowaków, 90 rusinów, 76 polaków, 47 kroatów, 31 serbów), 71 do rumuńskiej i 9 do włoskiej.

Niemcy najliczniejsi są w artylerji, mniej zaś liczniej w kawalerji, węgrzy służą najchętniej w lekkiej infanterji, polacy w kawalerji, a czesi w inżynierji.

Co się tyczy upowszechnienia języków w armji, to język francuski znany jest powszechnie w sztabie głównym i inżynierji, język zaś polski i węgierski w artylerji. — Najmniej ze wszystkich języków znany jest język rumuński.

Z Petersburga, jak donosi „Gazeta lubelska“ nadeszło pozwolenie dla p. Eustachego Świeżawskiego, właściciela majątków ziemskich w powiatach hrubieszowskim i tomaszowskim, na robienie studjów nad drogą żelazną wicynalną od jednej ze stacyj drogi nadwiślańskiej, do Tyszowiec, Tomaszowa, a nawet do granicy galicyjskiej.

Bieda na Górnym Szląsku rośnie z dniem każdym, jak donoszą dzienniki. Ziemniaki i żyto, będące prawie wyłącznym środkiem żywności małych właścicieli Szląska, nie udały się zupełnie. Siana brak także wielki, skutkiem czego nie ma paszy dla bydła. Publiczne roboty przedsięwzięte przez rząd, będą musiały być niebawem zaniechane, z powodu nadchodzącej pory zimowej, i nie pozostanie nic innego, jak rozdzielanie zapomóg między klasę roboczą, ogołoconą ze wszystkiego i nie mającą sposobu zarobku. W Lublinitz wychodzący „Oberschlesischer Bote“ pisał w tych dniach co nastepuje: „W najgorszem położeniu jest robotnik pracujący z dnia na dzień, gdyż małe jego zapasy w ziemniakach i kapuście, które stanowią jego wyłączne prawie pożywienie skończą sie niebawem, a roboty i zarobku nie ma, bo tak wiekszy, jak mały właściciel ograniczają się w wydatkach wobec zbliżającej się biedy. Nie przesadzimy też pewno, gdy powiemy, że głód i tyfus zawitają pewno niebawem do naszych okolic“.

Z Torunia piszą: Z powodu mowy Laskera, byłego posła w sejmie pruskim, którą wypowiedział przed kilkunastu dniami w berlińskiem towarzystwie rzemieślniczem, zrobiono tu uwagę, że trochę zapóźno Lasker oświadczył publicznie, jak dalece uważa za konieczne, aby „wszystko, czego młodzież uczy się z języków obcych, było dalszym ciągiem kształcenia się w języku rodzinnym“... Zapóźno, chociaż w każdym razie bardzo słusznie, mowca utrzymuje, że szkodliwem jest usiłowanie nauczenia się dwóch języków, obcego i swego, tak iżby niemi mówić równie dobrze; jak, bowiem, jeden człowiek nie może mieć dwojakiego charakteru, tak nie podobna, iżby równie dobrze mógł władać dwoma językami“. P. Lasker — przypominają tu sobie — miał kilkakrotnie podczas swojej karjery parlamentarnej sposobność do skuteczniejszego wypowiedzenia tych myśli i przekonań — z wiele wyższej i rozgłośniejszej, a donośniejszej w skutkach mownicy. Ludność polska nieraz ten przedmiot wnosiła przed forum sejmów pruskiego i niemieckiego... — ale wtedy wymowny publicysta inaczej zapatrywał się na tę samą w zasadzie kwestję. Dziś dopiero, gdy zeszedł z areny politycznej, jasno widzi to, co było jasnem zawsze, i co powinno było przedstawić się wyraźnie takiemu ostrowidzowi za jakiego uchodził, a szczególniej, pragnął uchodzić p. Lasker.

O głodzie na Szląsku, czytamy w poznańskim „Orędowniku“:

„W tych dniach zjechał do Raciborza naczelny prezydent Szląska, by się na miejscu przekonać, czy istotnie położenie Górnego Szląska jest tak okropnem, jak twierdzą, i naradzić się z miejscowemi władzami nad sposobami ulżenia nędzy. Uprzedził jednakże pan prezydent na naradach, że nie może stanowczo obiecać wspomożki państwowej, a w żadnym wypadku nie należy dawać biednym wsparcia, ale starać się dla nich o zajęcie, i w ten sposób z ich samopomocą zwalczać grożącą im nędzę. Landrat raciborski składając sprawozdanie z tegorocznych zbiorów w powiecie, wykazał, że zbiór kartofli wypadł jeszcze gorzej, niż się obawiano, i dowiódł, że jeżeli rząd wspomóżką nie przyjdzie włościanom w pomoc, zguba ich jest nieunikniona.

Zapewniano dotychczas, że tylko przeważnie rolnicze okolice Górnego Szląska, są klęską głodową dotknięte, że jednak i okolice przemysłowe nie stoją pod tym względem wiele lepiej dowodzą sprawozdania stowarzyszeń przemysłowych, z których 11 na 15 przyznało, że klęska głodowa grozi im zaraz, lub w najbliższej przyszłości, i przyczynę jej widzą w niskiej zapłacie za robotę, w nieurodzajach kartofli i kapusty, a więc podrożenia tych dwóch najgłówniejszych artykułów żywności, i w zakazie sprowadzenia z Polski bydła. Główną jednak przyczynę nędzy widzą te stowarzyszenia w niskiem wynagrodzeniu za pracę, które od 4 lat ciągle obniżane, nie wystarcza już teraz wcale na wyżywienie się robotników.

Z Raciborza, jak piszą do „Germanii“, przybywają już tłumy zgłodniałych i zziębłych wieśniaków: kobiet, mężczyzn i dzieci, żebrząc miłosierdzia. Tymczasem i w mieście samem wzrasta bieda pomiędzy rzemieślnikami i robotnikami pozbawionymi roboty. Jak temu zaradzić? Oto przez dostawę kartofli, ktoreby w części bezpłatnie, a w części po zniżonych cenach między potrzebującymi rozdzielane były, i przez roboty publiczne około budowy nowych i poprawy starych popsutych bardzo dróg. Ale teraz mróz już ścisnął, i długoż tam jeszcze na drodze pracować będzie można?

Duchowieństwo najgorliwiej stara się o zbadanie istniejącej między ludem nędzy, a jeden z księży lublinieckiego powiatu, odwołując się w „Germanii“ do publicznej dobroczynności, zapewnia, że na 20 znanych sobie gmin, tylko 3 mają zapewnione środki wyżywienia, w 17 zaś pozostałych połowa zaledwie mieszkańców przetrzyma z biedą do początków zimy, reszta zaś już dziś żyć z czego nie ma i mrze głód.

Z austrjackiego Szląska też same jałowe nadchodzą skargi. I tam kartofli i kapusty tak mało, że zapasy ich zaledwie do stycznia starczą, a Arcyksiążę Albrecht, mający tam olbrzymie dobra, nakazał już dzisiaj zarządowi onychże, jak najwięcej pracowników zatrudniać, wynajdując im w wszelki sposób zajęcie, a nie puszczać wcale gorzelni, ażeby nie odbierać ludowi niezbędnych mu do pożywienia kartofli".

Plotki i nieplotki.

* *Wzory przyzwoitej krytyki.*

Z teatru. Pan X. w roli amanta był przyzwoity — miał niektóre momenta szczęśliwe — tylko nie zupełnie pojął swą rolę. Panna X. dzielnie mu akompaniowała. Słowem całość wyszła gładko i przyzwoicie!

Z koncertu. Panna X. wcale przyzwoicie grała na fortepjanie, pani X. dzielnie jej towarzyszyła swym śpiewem — a chóry, i deklamacja — wywiązały się z przyzwoitością.

Ze sztuk pięknych. Pędzel malarza X. jest wcale przyzwoity — jego obrazy choć nienaturalne w szczegółach, przedstawiają całość bardzo naturalną i przyzwoitą! Rokujemy mu świetną przyszłość, jeżeli się odda sumiennej pracy i przyzwoicie będzie badał sztukę.

I ludzie powiadają, że krytyki nie ma we Lwowie!!

* *Na przedstawieniu „Dalili".*

— Dla czego tatuńciu ta łódka tak piszczy?

— Bo na niej siedzi Dalila, która się kocha w śpiewaku — więc, aby jej uprzyjemnić podróż, śpiewa po swojemu.

— A dla czego Dalila porzuciła kompozytora?

— Dla tego moja Maryniu, że kompozytor, zamiast świetnej opery, napisał tylko najzwyczajniejszą polkę, i jeden najzwyczajniejszy śpiew, to ją tak rozgniewało, że przeniosła nad niego śpiewaka!

* W pewnym domu, na wieczorach tygodniowych podają zwykle kaczki.

Jeden z roztargnionych gości wychodząc, pokornie zapytał:

— Czy na przyszłe kaczki, państwo będą w domu?

* *U stróża.*

— A co twojej kobiecie?

— Chytra na żarcie i wpadła w tyfus.

Korespondencje.

Ze Stanisławowa.

Świat się zewsząd poleruje,
Zewsząd widzę błysk,
Ja się z boku przypatruję,
Jaki z tego zysk!

Od tych słów wypada mi dziś zacząć na chwilę przerwaną korespondencję z wami; przez dłuższy czas, w istocie, z boku się patrzę na życie w naszem mieście i przychodzę do wyniku, że wiele się robi dla formy, a nie dla treści. Takie w pewnej mierze robi na mnie wrażenie n. p. „Kronika", czasopismo wychodzące od paru tygodni, poświęcone wszystkiemu, a właściwie nie dające dostatecznego wyobrażenia o potrzebach lokalnych, nie mogąc wytworzyć zastępu ludzi, chociaż te same oni mają przekonania. W tym krótkim przeciągu czasu swego istnienia poruszyła kwestje nawet ważniejsze; dotknęła strony drażliwszej niektórych kast i tym sposobem obudziła zainteresowanie, ale wkrótce odpowiedzialna redakcja poczęła się cofać, może nawet żałować śmielszego kroku, a przecież to, co było dotychczas w „Kronice", nie było nigdy przeciwko jakiejś pewnej jednostce podnoszone; były wykazane bardzo słusznie pewne niedostatki w tym, lub owym kierunku, ale ludzie wnet się zobaczyli w źwierciedle i hejże na Soplicę! Należy zatem wyrazić tylko swoje ubolewanie nad temi właśnie jednostkami, które przyznały się tym sposobem do winy, że gdzieś w jakiemś tam kółku one były przyczyną złego, a teraz występują przeciw dziennikowi, że to odsłonił. Konsekwentnie idąc, powinna „Kronika" coraz więcej podnosić sprawy, choćby one nie wiem kogo dotykały, nie uderzając, rzecz naturalna wprost na osoby. Ci ludzie chcieliby same komplementa słyszeć, na które w niczem nie zasługują, ale owszem na publiczne wypowiedzenie prawdy. Jeżeli „Kronika" chce znaleść poparcie, to tylko tą drogą je osięgnie, gdy śmiało wystąpi z prawdą, nie patrząc na osoby, lecz na rzecz samą, jeżeli pójdzie inną drogą, na jaką zdaje się schodzić, będzie tylko świecidełkiem, a nie opinją publiczną, z którą każdy powinien się liczyć. To radzimy po przyjacielsku, a usłuchawszy nas spełni swe żadanie, dozna poparcia od każdego, kto światła się nie lęka, a smutnem by było w istocie, gdyby w tak poważnem przynajmniej na oko, mieście, jak Stanisławów, więcej było sów, niż orłów.

Takiem polerowaniem się zewnętrznem jest obecnie sprawa wyborów do Rady miejskiej. Zwołano dwa razy komitet, w którego skład zaproszono osoby najwyżej stojące w mieście, coby nam przypuszczać należało, że wybierze najodpowiedniejszą reprezentację; ale z dotychczasowych czynności ośmielamy się powątpiewać; wyjdą z urny znajomi, mający koneksje, ale czy wyjdą ludzie wszyscy prawdziwie oddani tej sprawie, która w ich ręce będzie powierzoną, także mocno musimy się namyśleć nad daniem twierdzącej odpowiedzi. Wyjdą z pomiędzy nich ludzie, których na posiedzenie i cukierkiem nie zwabi, gdzie do kompletu będą tylko żydzi się przyczyniać, jak dotychczas często się zdarzało, a co sami oni niedawno publicznie wypowiedzieli.

Najwięcej jeszcze na serjo w obecnej porze pojmują swe zadania stowarzyszenia muzyczne; więcej prawdy i rzeczy logicznie przeprowadzonej tu się można dopatrzeć. I tak towarzystwo muzyczne im. Moniuszki, dało z końcem tamtego miesiąca wieczorek ku uczczeniu pamięci Szopena, za co każdy kochający swe pieśni był wdzięcznością przejęty; wykład dr. T. o naszym mistrzu był tak pouczającym, i tak głęboko wnikającym w utwory naszego muzyka, że nie jeden poczuł się dumniejszym, iż do tej samej należy narodowości, nad którą świat od wieku chce przejść do porządku dziennego, przeciwko czemu protestujemy ciągle krwią i siłą moralną. Co do reszty programu, to mamy powiedzieć, co już na tem miejscu kilkakrotnieśmy czynili, że pracę widać i zamiłowanie u członków, bo któżby zresztą swej pieśni i muzyki nie ukochał, ale trzeba pracy ciągłej, a owoce będą coraz widoczniejsze i przyjemniejsze.

„Towarzystwo miłośnik. muzyki" dało dwa koncerta już w tym miesiącu, ale w obu wiał duch, jak sami twierdzą klasyczny, a my mówimy klasyczno-obcy; wykonanie programowych kawałków w całości było dobrem, ale żeby ta muzyka mogła serce rozgrzać, trzeba by być kosmopolitą, a do jakiegoś czynu zapalić, trzeba mieć eteryczną budowę, być łatwo zapalnym materjałem.

BEZ RODZINY

POWIEŚĆ

przez

HEKTORA MALOT

Przekład z francuskiego.

(Ciąg dalszy).

— Ussel, czy to tak daleko jeszcze.

— Oto okrzyk prawdziwie z serca pochodzący — rzekł Vitalis śmiejąc się — więc masz tak wielką ochotę posiadać trzewiki? No, mój chłopcze, przyrzekam ci je i w dodatku podkute gwoździkami, a oprócz tego jeszcze dostaniesz aksamitne ubranie i kapelusz.

Trzewiki z gwoździkami! Olśniony byłem. Same trzewiki były już rzeczą wspaniałą, ale gdy usłyszałem, że mają być podkute, zapomniałem o zmartwieniu. Nie, widocznie mój pan nie był złym człowiekiem. Czyż człowiek zły byłby spostrzegł, że mnie saboty utrudzały?

Trzewiki, trzewiki z gwoździkami! aksamitne ubranie i kapelusz!

Ach! gdyby mnie tak matka Barberin zobaczyć mogła, jakże byłaby ze mnie zadowoloną i dumną.

Co za szkoda, że Ussel tak daleko jeszcze.

A jednak pomimo tych wszystkich pięknych rzeczy, obiecanych mi po przebyciu pozostających mil sześciu, zdawało mi się, że nie będę w stanie zajść tak daleko.

Na szczęście pogoda przyszła mi z pomocą.

Czyste błękitne niebo w chwili naszego wyjścia z domu, zwolna pokrywało się chmurami i wkrótce zaczął padać drobny, przejmujący deszcz.

Vitalis miał jakąkolwiek obronę w swem futerku, służącem również za schronienie dla małpki, która też z pierwszemi kroplami deszczu szybko uciekła do swojej kryjówki. Ale psy i ja nie mieliśmy nic do okrycia się wkrótce też przemokliśmy do nitki.

Jeszcze psy mogły się przynajmniej otrząsać od czasu do czasu, ale ponieważ ja tego naturalnego środka nie mogłem stosować do siebie, musiałem więc dźwigać ciężar przemokłego ubrania, przygniatającego mnie i mrożącego zarazem.

— Czy łatwo dostajesz kataru? — zapytał mnie Vitalis.

— Nie wiem, nie pamiętam, czy miałem go kiedy w życiu.

— To dobrze, bardzo dobrze, widocznie jest w tobie zaród zdrowia. Ale nie chcę cię narażać bez potrzeby. Nie pójdziemy już dziś dalej. Ot, tam w tej wiosce zanocujemy.

Ale w wiosce tej nie było zajazdu, a nikt nie chciał przyjąć na noc człowieka. będącego rodzajem żebraka, wlokącego za sobą dziecko i trzy psy, a wszystko to zabłocone po uszy.

— To nie oberża — odpowiadano nam — zamykając drzwi przed nosem.

Czyż więc trzeba będzie przebyć i to bez odpoczynku i te cztery mile dzielące nas od Ussel? A tymczasem noc nadchodziła, deszcz zimny nas przejmował, a nogi ciążyły mi jak drewniane. Ach! gdyby to być w domu u matki Barberin!

Nareszcie jeden wieśniak litościwszy od swych sąsiadów, pozwolił nam wejść do stodoły i to pod warunkiem, że nie będziemy palić światła.

— Oddajcie mi zapałki — rzekł do Vitalisa — odbierzecie je wychodząc jutro rano.

Przynajmniej mieliśmy dach chroniący nas od deszczu.

Vitalis był to człowiek przezorny, nie ruszający w drogę bez zapasów. W tornistrze, który niósł na plecach, znalazł się bochenek chleba. Vitalis przedzielił go na cztery części.

Wówczas po raz pierwszy zobaczyłem w jaki sposób utrzymywał karność i posłuszeństwo pomiędzy swymi wychowańcami.

Podczas gdyśmy szukali schronienia wędrując po wsi od drzwi do drzwi. Zerpino wszedł do jakiegoś domu i wkrótce wypadł z tamtąd z kawałem chleba. Vitalis powiedział do niego tylko te słowa:

— Do wieczora Zerbino.

Ja już zapomniałem o tej kradzieży, gdy spostrzegłem, że właśnie w chwili, gdy nasz pan rozkrawał bochenek, Zerbino przybrał minę nader pokorną. Vitalis, ja, a wśród nas Joli-Coeur, siedzieliśmy na wiązce chrustu, psy zaś rzędem leżały przed nami, Capi i Dolce z oczami utkwionemi w swym panu, Zerbino ze spuszczonym nosem i opadłemi uszami.

— Niechaj złodziej wyjdzie z szeregu — rzekł Vitalis rozkazującym tonem — niech idzie precz, do kąta, nie ma dla niego kolacji.

Natychmiast Zerpino opuścił swe miejsce, czołgając się i we wskazanym kącie ukrył się pod stosem chrustu, nie widzieliśmy go więcej cały wieczór, od czasu do czasu tylko dochodziło naszych uszów żałosne skomlenie.

Po spełnieniu tego wyroku, Vitalis podał mi kromkę chleba, a jedząc także sam, karmił zarazem przeznaczonemi dla nich porcjami psy i małpkę.

Podczas ostatnich miesięcy pobytu mego u matki Barberin, zapewne nie karmiono mnie przysmakami, a jednak zmiana ciężką mi się wydała.

Och! smaczną wydawała mi się w tej chwili gorąca zupa, gotowana codzień przez matkę Barberin, chociażby nawet była bez masła.

Jakże byłoby mi przyjemnie usiąść przed kominem, a później z jakąż rozkoszą położyłbym się do łóżka, okrywając kołdrą po same uszy.

Ale niestety! nie mogło tu być mowy, ani o łóżku, ani o kołdrze, powinniśmy byli uważać się za szczęśliwych, mając chociaż garść słomy za posłanie.

Zmęczony, z nogami poranionemi od sabotów, w mokrem ubraniu, trząsłem się z zimna.

Noc już była zupełna, ja jednak nie myślałem o spaniu.

— Zęby ci szczękają — odezwał się Vitalis — czy ci zimno?

— Trochę.

Usłyszałem otwieranie worka.

— Nie mam ja wprawdzie zbyt obfitych zapasów stroju — rzekł — ale masz oto suchą koszulę i kaftan. zrzuć twoje ubranie, włóż to na siebie, zakop się w słomę, a wkrótce rozgrzejesz się i uśniesz.

Nie usnąłem jednak tak prędko, jak sądził Vitalis; zbolały, nieszczęśliwy, przewracałem się długo wśród słomy.

Więc to tak będzie codzień teraz? Iść podczas deszczu bez wytchnienia, nocować w stodole, drżeć od zimna, nie mieć nic na kolację prócz kawałka suchego chleba i nikogo, aby cię pożałował, nikogo kochającego, jak matka Barberin?

Rozmyślając tak smutnie, z sercem żalem wezbranem i oczyma pełnemi łez, uczułem nagle na twarzy ciepły oddech.

Wyciągnąłem rękę i dotknąłem miękkiej sierści Kapitana.

Zbliżył się po cichutku, położył na słomie tuż przy mnie i zaczął mi lizać rękę.

Wzruszony tą pieszczotą, podniosłem się na wpół i uściskałem go.

Capi z radości szczeknął z cicha, położył mi łapę na ręku i nie poruszył się więcej.

Zapomniałem o trudach i troskach, serce moje doznało ulgi, odetchnąłem swobodniej, nie byłem już sam, miałem przyjaciela.

VI.

Moje pierwsze występy.

Nazajutrz wczesnym rankiem puściliśmy się w drogę.

Deszcz nie padał, niebo było błękitne, a przez noc wiatr osuszył drogi z błota. Ptaki śpiewały radośnie na gałęziach przydrożnych drzew, psy podskakiwały wesoło biegając około nas. Capi od czasu do czasu stając na tylnych łapach, patrzał na mnie i szczekał, jak gdyby mi chciał powiedzieć:

— Odwagi, odwagi!

O, bo Kapitan był to bardzo inteligentny pies, rozumiejący wszystko i umiejący dać się zrozumieć. Nieraz słyszałem ludzi odzywających się o nim, że psu temu mowy tylko brakuje. Ja jednak byłem przeciwnego zdania, gdyż w jego ogonie nawet więcej było sprytu i wymowy, aniżeli w oczach i języku niejednego człowieka. Zresztą, my pomiędzą sobą nie potrzebowaliśmy słów i rozumieliśmy się doskonale.

Stały mieszkaniec wsi, niezmiernie byłem ciekawy poznać miasto. Muszę jednak wyznać szczerze, Ussel nie zachwyciło mnie wcale. Te stare domy z wieżyczkami, których widok napawał zapewne rozkoszą serca archeologów, dla mnie pozostały zupełnie obojętnemi.

Wprawdzie nie upatrywałem ja też w nich malowniczej strony. Jedna, wyłączna myśl zapełniała mą głowę i zasłaniała oczy, a przynajmniej nie dozwalała mi nic innego widzieć, oprócz — sklepu z obuwiem.

Trzewiki, trzewiki obiecane przez Vitalisa, nakoniec nadeszła upragniona godzina włożenia ich na nogi. Tego to właśnie sklepu upatrywałem, reszta, wieżyce, łuki, kolumny, nie obchodziły mnie wcale.

Jedyne też wspomnienie pozostałe mi z Ussel, to obraz ponurego, zakopconego sklepu, położonego tuż przy rynku. Były tam w oknie wystawione stare strzelby i mundury srebrem bramowane, wiele rozmaitych lamp, kosze żelastwa, a szczególniej kłódki i zardzewiałe klucze.

Schodziło się tam po trzech schodach do wielkiej izby, do której zapewne promień słońca nie zajrzał nigdy, od chwili umieszczenia dachu nad domem.

Nie mogłem pojąć, jakim sposobem tak piękna rzecz, jak trzewiki, mogła się znajdować w tak szkaradnem miejscu.

Vitalis jednak dobrze wiedział co robił wchodząc tam, wkrótce też uszczęśliwiony miałem na nogach okute trzewiki, dziesięć razy zapewne cięższe, aniżeli moje saboty.

Wspaniałomyślność jednak mego pana nie poprzestała na tem, tak jak przyrzekł, kupił jeszcze aksamitną kurtkę, wełniane spodeńki i kastrowy kapelusz.

Aksamit dla mnie, który do tego czasu nie znałem nic oprócz płótna, kapelusz, skoro dotąd za całe pokrycie głowy służyły mi tylko włosy, sprawiły, iż Vitalisa uważałem za najlepszego, najhojniejszego i najbogatszego człowieka na świecie.

Wprawdzie aksamit był już zgnieciony, wełna wytartą, a oznaczyć na pewno kolor kapelusza byłoby rzeczą zbyt trudną, tyle musiało go spłukać deszczów i osypać pyłów; lecz ja olśniony otrzymanemi świetnościami, pozostałem nieczułym na te niedostatki kryjące się pod ich blaskiem.

Pilno mi było przywdziać na siebie ten piękny strój, lecz Vitalis przed oddaniem mi go, dokonał w nim przemiany, która mnie boleśnie zdziwiła.

Przyszedłszy do oberży, wyjął nożyczki z torby i obciął spodeńki po kolana, a gdy patrzyłem na niego zdumiony

— To dlatego — rzekł — abyś się wyróżniał z tłumu. Jesteśmy we Francji, ubiorę cię więc po włosku, a jeżeli udamy się do Włoch, co jest rzeczą nader możliwą, będę cię ubierał po francusku.

A ponieważ to wyjaśnienie nie położyło kresu memu zdziwieniu, ciągnął więc dalej: (C. d. n.)

TEATR.

Występy pani Modrzejewskiej. Nie możemy sobie wytłomaczyć, jaki jest istotnie powód, że pani Modrzejewska występuje w „Cudzoziemce“?... Pomijając już wartość tej 5-aktowej komedji, która w stosunku do innych dzieł Dumas'a (syna), jest, co najwięcej, mierną, a w stosunku do dzieł scenicznych innych francuskich komedjopisarzy, lichą sceniczną produkcją, nie widzimy w niej roli dla talentu pani Modrzejewskiej... bo przecież ta okoliczność, że cudzoziemka jest amerykanką, której awanturnicze życie poznajemy z jedynego opowiadania swojej rywalce — księżnej, nie mogła być pobudką dla artystki, potrzebującej pewnej twórczej autorskiej przestrzeni w kreślonych postaciach, aby się jej talent miał gdzie rozwinąć i pełnemi skrzydłami pożeglować do umysłów i serc słuchaczy... „Cudzoziemka“ Dumas'a jest to dziwaczne, parodoksalne nic... Pokazuje się tylko w 3ch aktach, w każdym po jednej scenie — scena zaś każda trwa po kilka minut, w akcie trzecim dziesięć minut — wszystkiego główna postać znajduje się na scenie, najwyżej pół godziny, a sztuka trwa od godziny 7mej do 11tej. Komedja ta nastręczyła pani Ładnowskiej kilka chwil szczęśliwych, mianowicie w 4tym akcie. ale za to początkowe sceny na dobroczynnym balu szły, jak z kamienia. Równo i z doskonałem wniknięciem w charakter grał p. Podwyszyński księcia, a z humorem i ze zwykłą swobodą p. Lubicz amerykanina. P. Woleński grał Gerard'a, którego autor zrobił tak biernym kochankiem, że mu nawet, kto inny usuwa męża swojej ubóstwianej — z rolą tą przez autora zwichniętą i na wskróś nienaturalną, robił p. Woleński, co tylko zdolny artysta robić może, choć wie z góry, że nic nie zrobi... Większe trochę role, bardzo niedbale przez autora nakreślone, grali: pani Aszpergerowa i pp. Zamojski, Skalski i Walewski — zresztą autor powprowadzał mnóstwo figur niezwiązanych z ogólną treścią sztuki niczem — wspominamy, że w scenie, która rozpoczyna pierwszy akt brali udział: pp. Tomaszewiczowa, Sułkowska, Korwin i inne, oraz pp. Sachorowski, Pieniążek, i kilku innych młodszych artystów, lub aspirantów na artystów. Zwracamy też uwagę kogo należy, że pomiędzy tymi panami aspirantami grającymi zwykle role lokajów, daje się spostrzegać niedbałość, a często nienauczenie się roli, składającej się zaledwie z kilku frazesów.

Występy swoje we Lwowie zakończyła pani Modrzejewska w sztukach: „Fortepjan Berty“ (na dochód „Harmonji“), „Księżna Jerzowa“ i „Romeo i Julja“. Sprawozdanie z tych trzech ostatnich występów, zniewoleni jesteśmy odłożyć do następnego numeru.

Wieczorek na uczczenie Mickiewicza urządzony przez młodzież akademicką odbył się dnia 26 listopada. W tym roku wejście się opłacało, a fundusz ztąd zebrany przeznaczony został na pomnik Mickiewicza w Krakowie. W części deklamacyjnej koncertu wzięli udział: pani Modrzejewska, która wygłosiła „Świteziankę“, i p. Ładnowski, który oddeklamował wiersz Ujejskiego p. t. „Pogrzeb“ przy akompanjamencie melodji Szopena, wykonanej na fortepjanie przez p. Marka. Część wokalno-instrumentalna znalazła wykonawców: p. Marka pp. Ziembicka, Majewska i inni. Sala ratuszowa nie była tak zapełnioną, jakby się spodziewać należało. Przemówienia zagajającego, w tym roku zupełnie nie było.

Potoczne wiadomości teatralne. — Z Warszawy donoszą: Ponieważ na 20 przedstawień z udziałem pani Modrzejewskiej rozebrano abonament w ciągu jednego dnia — przeto za porozumieniem się z artystką ogłoszono jeszcze 10 innych przedstawień — tym sposobem pani Modrzejewska wystąpi w Warszawie 30 razy; zawsze artystka bierze po 400 rubli za każdy spektakl.

— Ktoś znający osobiście Adelinę Patti, ogłosił w dziennikach paryskich statystykę listów, z prośbą o jałmużnę, które słynna śpiewaczka otrzymywała w różnych miastach europejskich. Odezwy te impresario *divy*, p. Franchi, przez czas jakiś zapisywał do książki umyślnie w tym celu sporządzonej. Pomimo nadzwyczajnej różnorodności stylów, treść listów bardzo jest jednostajna, — a mianowicie, wyraża stale żądanie pożyczki w kwocie niemniejszej nad sto marek pruskich. Tak np. w roku 1878, Patti otrzymała listów 9.270, i gdyby im zadość uczyniła, ogólna suma wydanych pieniędzy wyniosłaby około 23 miljonów franków. Między innymi, jakiś pan z arystokratycznej rodziny austrjackiej, prosił Patti o pożyczenie mu 25.000 franków, od których obowiązywał się płacić 2%. Najwięcej takich listów odbierała Patti we Włoszech. We Florencji mianowicie codziennie otrzymywała po 60 do 70 listów, z prośbą o zasiłek pieniężny, — a w tej liczbie od osób ze znakomitych rodzin szlacheckich; w Wiedniu około 50, w Berlinie około 40, w Paryżu około 20.

— W Berlinie na scenie teatru królewskiego występuje teraz Ristori. Szereg ról gościnnych rozpoczęła ona od „Medei“. Powodzenie pierwszego wystąpienia było mniej, niż nawet mierne. Sala świeciła pustkami, a recenzenci pism berlińskich oddając talentowi artystki należne pochwały, nie mogą zataić, że niemiłosierny ząb czasu, zrujnował wszystko...

Kronika zagraniczna.

Szkoła angielska utraciła jednego z najpłodniejszych swoich mistrzów pędzla. Dnia 27 września zmarł Paweł Paolo, w wieku lat 74. Przypadło to na czas, kiedy ubóstwo sztuki w Albionie znalazło stwierdzenie na wystawie monachowskiej, gdzie tylko jedna i to drugiej klasy nagroda malarzowi angielskiemu panu Herkomer, przyznaną została.

Oryginalna kobieta, nazwiskiem Lucy Labdel, zmarła świeżo w Ameryce. Losy jej mogłyby posłużyć za materjał do pełnego okropności romansu.

W r. 1851 dziwna ta kobieta mając wtedy 17 lat wieku, wyszła za mąż, ale opuszczona po roku przez męża, postanowiła zerwać ze światem i przebrawszy się w suknie męskie, zamieszkała w charakterze myśliwego w lasach.

Przez ciąg 18 lat wałęsała się po lasach, polując na zwierzynę i mieszkając w norach ziemnych. W r. 1860 zapadłszy ciężko na zdrowiu, przyszła leczyć się do Bethany i tu napisała ciekawą książkę o ilości upolowanej przez siebie zwierzyny.

Podczas jej pobytu w tem mieście, zdarzył się szczególny wypadek. Pewna młoda dziewczyna biorąc ją za mężczyznę, zakochała się w niej gwałtownie. Gdy miłość ta stała się głośną i groziła... małżeństwem, Lucy uciekła do lasu. Od r. 1877 przestała już ona pędzić awanturnicze życie.

W Paryżu przyjęto naganny zwyczaj ubierania dzieci w przyprawne włosy, złożone z długich loków, które zwieszają się po obu stronach twarzy. W dodatku, próżne matki malują dzieciom swoim pukle i przyciemniają brwi. Smutny ten obyczaj wywrze na przyszłe pokolenia bardzo niekorzystne skutki.

Curiosum...

Sąd apelacyjny w Peszcie ma sobie oddaną do rozpatrzenia sprawę, która ze względu na treść, nie ma podobnej w kronikach sądowych.

Przed kilku miesiącami pewien przykładny mąż, kupiec węgierski, zawarł z młodym negocjantem, cudzoziemcem, kontrakt, mocą którego obowiązał się wynająć temu ostatniemu swoją żonę na lat pięć, za sumę 25.000 guldenów.

Suma miała być wypłaconą w dwóch ratach: 20.000 przy spisaniu umowy, a 5.000 po wyekspirowaniu takowej.

Kontrakt zawarto, negocjant zabrał wydzierżawioną przez siebie nieruchomość (tak nazwano w umowie żonę kupca).

Ale po dwóch tygodniach nieruchomość opuszcza potajemnie dom dzierżawcy i wraca do swego męża.

Poszkodowany negocjant żąda tedy zwrotu 20.000 guldenów.

Kupiec zaś nietylko odmawia, lecz ze swej strony żąda wypłaty pozostałych 5.000 złr., dowodząc, że kontrakt zerwany został nie z jego winy, gdyż on nie zobowiązał się strzedz nieruchomości, odkąd takową wynajął dzierżawcy.

Wyrok sądu w tej ciekawej sprawie zapadnie niezadługo.

Dzienniki wiedeńskie opisują następujący zabawny wypadek.

Cesarzowa austrjacka znajdowała się na polowaniu w Saint Mihaly. Upodobawszy sobie w tej wiosce pewną chatkę, przybyła do niej i w ostatnim jej pokoiku w towarzystwie dwóch przybocznych dam, zmieniała toalete.

Nadzorcy tabacznemu doniesiono właśnie, że w chacie tej znajduje się przemycany tytuń. Zjeżdża więc bezzwłocznie na rewizję, nie znalazłszy nic, jednak usiłuje koniecznie dostać się do pokoju, w którym się cesarzowa przebierała. Napróżno właścicielka chaty zaklina go, by się oddalił, o-

świadczając, iż monarchini jest jej gościem, urzędnik uważa to za podstęp i kołacze do drzwi pokoju gwałtownie. Hałas dochodzi do cesarzowej, która rozkazuje drzwi otworzyć i wynieść pakę tytoniu istotnie ukrytą w kącie. Strwożona właścicielka padła do nóg monarchini, przepraszając ją za całe zajście, ale jakież było jej zdziwienie, gdy ta jej oświadczyła, że nietylko się nie gniewa, ale owszem zapłaci jeszcze karę wymierzoną na nią za kontrabandę.

Krytyka, Nowiny literackie i artystyczne.

Nie jednemu zapewne nieraz na myśl przyszło, czy ze sztuk pięknych rzeźba u nas jest odpowiednio pielęgnowaną i ma godnych jej reprezentantów. Pytanie takie jest zupełnie słuszne, tem bardziej, że rodzona siostra rzeźby, a której na imię: malarstwo, przez Matejkę, Siemiradzkiego i Brandta na tak wysokim stanęło stopniu udoskonalenia. Czyżby więc rzeźba u nas polaków nie miała godnego jej znaleść schronienia? Bynajmniej. Wprawdzie rzeźba polska nie posiada dotychczas zbyt wielu pracowników, ale da się to tem usprawiedliwić, że sztuka ta od niedawnego dopiero czasu znalazła u nas poparcie. Wprawdzie już po roku 1840 Oleszczyński i Sosnowski (Chrystus w grobie, Anioł zmartwychwstania) zasłynęli po Wicie Stwoszu, jako pierwsi „poważniejsi mistrzowie w tej sztuce“, lecz dopiero później zaczęto na dobre w rzeźbie upatrywać prawdziwą sztukę piękną i jej się też z zapałem oddawać. I tak: Brodzki (głowa Chrystusa), Godebski, Antokolski, Syrewicz (biust marmurowy Szopena), Henryk Stattler (popiersie Matejki, Helcla i t. d.), Barącz (popiersie Libelta). Trembecki (Górale), Lipiński (Tęsknota), Gujski i wielu innych — oto nazwiska reprezentantów rzeźby polskiej. Nie wielu ich wprawdzie, lecz i tutaj słuszne są słowa Pliniusza młodszego: *multum, non multa.* Cieszymy się też zawsze szczerze, gdy widzimy nowy jaki utwór, bo każde dzieło takie najlepszym dowodem, że i polska ręka potrafi artystycznie dłutem władać i że mamy wszelkie prawo mówić i pisać o rzeźbie polskiej. Mniemamy nawet, że nietylko prawo mamy do tego, ale i obowiązkiem naszym pisać o nowszych utworach w rzeźbie, gdyż przez to zapoznaje się najpierw szersze grono publiczności z dziełem artystycznem, a dalej zwraca się artyście raz po raz na niejedno uwagę, z której może później skorzystać. Gdy słów tych kilka kreślimy, mamy na myśli dwa najnowsze dzieła artystyczne, mianowicie biust J. I. Kraszewskiego, wykonany przez Jaroszyńskiego Marjana *) i pomnik Gałęzowskiego, który przed kilkunastu dopiero dniami odsłoniono w Paryżu, a który jest dłuta Godebskiego. Szczupłe ramy pisma nie pozwalają w jednej i tej samej kronice artystycznej dwa te utwory odpowiednio ocenić. Dlatego też dzisiaj mówić będziemy jedynie o biuście J. I. Kraszewskiego, odkładając ocenę pomnika do kroniki następnej. — A priori zastrzegamy się, że nie będziemy dzieła tego krytycznie rozbierać, bo mamy zawsze na myśli, że rzeźba u nas dopiero w rozkwicie, a powtóre jesteśmy zdania, że słusznie zupełnie gdzieś powiedziano, iż przewodnikiem krytyka powinna być Minerwa, nie w swojej nadludzkiej postaci, która ćmi oczy śmiertelnych, nie z głową Gorgony, któraby nieprzyjaciół w kamienie przemieniała, ale w ludzkiej Mentora postaci, w której przyjaźnią z Telemakiem złączona, naprowadza go i ostrzega. Krytykowanie na sposób kogoś, którego pewien poznańczyk porównał z anatomem, będącym dalekim od tego, aby zabijał swego pacjenta, owszem zostawia go przy życiu, tylko wyjmuje mu kosteczki i wyprowa żyłki, i najgrzeczniej wkłada napowrót zostawiając go losowi; krytykowanie mówię takie, byłoby tutaj co najmniej niesłuszne. Lecz do rzeczy. Biust J. I. Kraszewskiego jest podwójnie naturalnej wielkości z bronzu. — Na pierwrzy rzut oka dzieło to robi dość niemiłe wrażenie. — Patrzymy na człowieka myśli o groźnej zbyt twarzy, mówiącego niejako, że przeznaczeniem jego jest przewodniczyć narodowi. Wpatrując się jednakże dłużej w biust ten okiem krytycznem, zauważymy kilka dość ważnych usterek. I tak, głowa nie jest proporcjonalnie wielką do szyi i klatki piersiowej. Biust robi też dlatego wrażenie, jakby na szyi i piersiach Herkulesa głowa zwyczajnego spoczywała śmiertelnika. Jest to błąd niemały, który możnaby poniekąd tem usprawiedliwić, że nadzwyczaj jest trudnem zwiększając przedmiot jakiś wszystkie jego części odpowiednio zwiększyć i uwydatnić. Mówia, że małe jedynie fotografje służyły artyście za model. Uniewinnia to po części, lecz nie zupełnie. Drugim błędem w dziele Jaroczyńskiego jest brak spokoju i prostoty w twarzy jubilata. — Gdybym w nocy patrzał na biust ten, mówił mi w Sukiennicach jeden za znawców, tobym się po prostu bał Kraszewskiego. Zdanie to proste i trafne. Twarz Kraszewskiego jest w samej rzeczy zbyt marsowa, zbyt sroga; a przecież ujmującą cechą rzeźby jest właśnie ta wspaniała prostota i cicha wielkość, której w dziele Jaroczyńskiego napróżno szukamy. Winkelmann, znakomity krytyk i estetyk mówi wyraźnie, że posągi, lub biusta stać powinny wspaniałej prostocie, spokojne, całe w sobie zawarte i wykończone. Tak, jak morze w głębi jest spokojne, chociaż powierzchnia jego się burzy, tak samo we wszystkich posągach, lub biustach widzieć powinniśmy przy wszystkich namiętnościach wielką i spokojną duszę. Dalej naśladował Jaroczyński w swym utworze za zbyt niewolniczo naturę, czyli lepiej powiedziawszy, zanadto silił się na uwydatnienie podobieństwa Kraszewskiego. — Czyżby artysta nie miał wiedzieć, że właśnie w rzeźbie nie chodzi o szczegółowe uwydatnienie podobieństwa twarzy osoby tej, którą się tworzy, lecz przeciwnie, że się ją tworzy, trzeba zebrać w swej imaginacji wszystko, co jest najdoskonalsze i z tem połączyć idealną piękność wzniosłych rysów. Takie, a nie inne miał myśli grecki rzeźbiarz, gdy z twardego ciosał marmuru Apolina, Jowisza, lub Wenerę. Lecz i to wszystkie usterki w utworze Jaroczyńskiego. Modelacja drobrze i ze znajomością rzeczy uwydatniona. Znajomość anatomiczno plastyczna jest w biuście Kraszewskiego oprócz małej usterki w dolnej części kostki mostkowej (reg. proc. ensiv.) najlepszem dowodem, że artysta wiele zadał sobie nad tem dziełem pracy i, że z pewnem do niej przystąpił przygotowaniem. Na pytanie, czy dzieło Jaroczyńskiego jest dziełem artystycznem, odpowiadamy twierdząco. Gdyby artysta jedynie oddawał się rzeźbie, to jesteśmy pewni, że już i w krótkim czasie jedno z wybitniejszych zająłby miejsc w rzeźbiarstwie polskiem. Polypragmaria jest podobno wszędzie i zawsze niedobrą — w sztukach pięknych jest błędem.

*) Towarzystwo przyj. nauk w Poznaniu ofiarowało biust ten Kraszewskiemu. Kraszewski darował go Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie.

Bronisław Prawdomowski wydał „Wspomnienia o literacko-społecznym jubileuszu J. I. Kraszewskiego“, składające się z trzech oddziałów, przedmowy i zakończenia. Każdy z trzech oddziałów można nabyć osobno.

Tegoż autora „Heloci XIX wieku“ opuściły prasę.

SPROSTOWANIE.

W nrze 85 na str. 2 w szpalcie 2giej wiersz 12 od góry czytaj zamiast *starców: starem;* w szpalcie 3ciej wiersz 18 od dołu czyt. zamiast *wartość: wartości*; wiersz 35 od dołu zamiast *kochankę: kochanka.*

W nrze 86 na str. 2 w szpalcie 2giej wiersz 14 od dołu zamiast *wicher*, czytaj: *siebie.*

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

Szan. Kancellarji ks. ks. Sapiehów w Krasiczynie. Jeśli numer zaginie, nigdy nie pochodzi z naszej winy, bo pod tym względem prowadzimy bardzo ścisłą kontrolę. Żądany numer po raz drugi wysłaliśmy.

P. R. pod Tarnopolem. Czy długo jeszcze czekać będziemy na należytość?

P. Julji we Lwowie. Kwestje miłosne są czasem tak zawikłane i takimi się w życiu znaczą hieroglifami, że trudno je czasami odczytać — bardzo często łatwiej odczuć sercem...

OGŁOSZENIA.

Przestroga!

Pewien Józef Fried, podróżując z obrazami po prowincji jako domokrążca, mieni się być moim bratem — co niniejszem, jako niezgodne z prawdą publicznie oświadczam. Nie zostaję z tym mężczyzną w żadnym stosunku i nie znam go wcale. (273-2-1)

Ignacy Fried
handel obrazów sztuki
przy ul. Halickiej l. 13 we Lwowie

Odpowiedzialny redaktor i odpowiedzialny wydawca: Jan Chechliński — Z drukarni K. Pillera.

Lwów, Sobota dnia 22 Listopada 1879.

NADZWYCZAJNY DODATEK
do
Nr. 87 „DZIENNIKA DLA WSZYSTKICH"
czasopisma illustrowanego tygodniowego.

Kronika krajowa.

† W tych dniach zmarła w mieście naszem ś. p. Henryka Ujejska z domu hrabianka Komorowska, małżonka poety Kornela Ujejskiego.

---

† Ś. p. Jan Baranowski, astronom, b. profesor i dyrektor obserwatorjum astronomicznego w Warszawie, a rodzony brat ś. p. Walentego, biskupa Lubelskiego, rozstał się z tym światem w Lublinie, 8 b. m.

Zasługi ś. p. Jana Baranowskiego, położone na polu astronomji, są tak znaczne, że niepodobna ich w pobieżnym artykule dziennikarskim wymienić, nie wątpimy też że pisma naukowe zamieszczą biografje zasłużonego astronoma; my z konieczności ograniczyć się musimy na pobieżnej wzmiance biograficznej.

Ś. p. Jan Baranowski przyszedł na świat w Sławkowie gub. Radomskiej, dnia 26 grudnia 1800. Ukończył nauki w uniwersytecie warszawskim i otrzymał stopień magistra filozofji. W r. 1825 został adjunktem obserwatorjum astronomicznego w Warszawie. Jakiś czas pracował za granicą przy astronomie Besslu w Królewcu, oraz przy Struwem w Petersburgu, a po śmierci Armińskiego, powołany został na dyrektora obserwatorjum w Warszawie.

Był również profesorem b. szkoły głównej na katedrze astronomji, oraz dziekanem wydziału matematycznego.

Odznaczył się zaszczytnie na polu pracy naukowej i pozostawił po sobie szereg dzieł, które mu imię rozgłośne zjednały. Dzieła te, traktujące o tak zwanej „taxe machine", wydawał w języku francuskim w Paryżu.

W języku polskim wydał: „Wzory z trygonometrji prostokreślnej i kulistej". Tłómaczył „Meteorologję" Foissaca, w części „Kosmos" Humboldta, oraz napisał obszerny życiorys Kopernika, który zamieścił w podjętem przez siebie pomnikowem wydawnictwie wszystkich sześciu ksiąg dzieła naszego astronoma: „O obrotach niebieskich". Ta praca zaliczoną być winna do największych zasług ś. p. Baranowskiego.

Ostatnie lata swoje spędził ten dobrze zasłużony mąż u brata swojego biskupa w Lublinie, którego o dwa miesiące tylko przeżył.

---

† Karol Forster, o zgonie którego w Berlinie, otrzymaliśmy wiadomość, działalnością na polu naukowem, przez pół wieku zasługiwał się krajowi.

Forster urodził się w Warszawie 1800 r. Będąc urzędnikiem w kancelarji przybocznej Zajączka. wolne chwile poświecał literaturze.

Pierwsze jego prace przeważnie składają się z przekładów dzieł scenicznych, następne wskazują zwrot umysłu na inne. głębsze tory.

Forster bawiąc w Paryżu i pozostając pod wpływem tamecznego życia, poświęcił się badaniom umiejętności społecznych i powziął myśl popularyzowania takowych dla szerszego czytelników koła.

W dziennikach francuskich i w oddzielnych broszurach pojawiały się jego utwory oryginalne i przekładane.

Z dzieł w kierunku społecznym, samodzielnością poglądu zaznaczonych, należą: „Listy polityczne" i „Powrót do porządku". Książki te wydane w Paryżu, ukazały się po francusku, ostatnią z nich zaś autor sam tłómaczył na polski, oraz niemiecki język.

Prócz tego Forster pisywał po niemiecku w zakresie społecznym. Po za działalnością literacką, był on czynnym na polu krzewienia oświaty ludowej we Francji, za co przez kilka towarzystw naukowych. do udziału w ich pracach powołanym został.

Od 1849 r., Forster przebywał stale w Berlinie i tam położył główną zasługę wydawnictwem Biblioteki nauk moralnych i politycznych, która w 20tu tomach zawiera oryginalne, lub udatnie przełożone prace, a z tych przedewszystkiem wymienić wypada Blanqui'ego i Droza: wykłady ekonomji politycznej.

Następnie Forster wydał 25 książeczek dla klas pracujących, w których pomieścił traktaty treści moralnej, oraz społecznej. Aby ocenić bezinteresownie podjętą misję pracy Forstera, dosyć jest nadmienić, iż rozdał dwadzieścia tysięcy egzemplarzy swoich książeczek bezpłatnie rozmaitym instytucjom i stowarzyszeniom, celem szerzenia onych pomiędzy czytelnikami.

Otrzymujemy następujące pismo:

W numerze „Czasu" 234 z dnia 11 października podano do wiadomości, że na skromnej biesiadzie wydanej przez obywateli biorących udział w jubileuszu J. I. Kraszewskiego dla uczczenia Siemiradzkiego, obecni zachęceni przemówieniem jednego ze znanych literatów, i słowami p. Alfreda Szczepańskiego w sprawie złożenia grosza wdowiego na podtrzymanie Muzeum dra Baranieckiego, a mianowicie wykładów dla kobiet, przyjęli zaproponowaną ofiarę i na miejscu ją złożyli projektodawcy. Ponieważ zapytują mię z Litwy, kto odbiera na ten cel pieniądze posłane, ponieważ dotąd, ani tych, ani żadnych pieniędzy na owej uczcie zebranych nie otrzymałem, przeto widzę się zmuszonym podać do publicznej wiadomości, że ofiary przesyłać można na ręce Administracji „Czasu", lub na imię dyrektora Muzeum techniczno-przemysłowego krakowskiego, wyłączając wszelkie prywatne pośrednictwo. Wszystkie datki, jakie na ten cel wpłyną, będą ogłaszane w miejscowym dzienniku z nazwiskami ofiarodawców, lub też tylko pierwszych liter, jeśli to sobie ofiarodawca zastrzeże. Upraszam wszystkie życzliwe pisma o powtórzenie tej odezwy.

Adryan Baraniecki
dyr. Muzeum techn.-przem. krak.

Przed laty kilku dr. Mieczysław Malcz w Warszawie obmyślił i zbudował przyrząd inhalacyjny, mogący użytecznie zastąpić dotychczasowe aparaty, niezawsze praktyczne.

Przyrząd o jakim tu mowa, uznany został na wystawie paryskiej przy obecnym rozwoju terapji inhalicyjnej, za pomyślnie dający się zastosować do leczenia zboczeń w naczyniach gardła i płuc.

Bliższy opis aparatu wydany w kilku językach, prawdopodobnie wywoła w zagranicznej prasie uwagi specjalistów. ograniczając się więc na zaznaczeniu samego faktu, dodajemy, iż byłoby dobrze, aby pisma lekarskie, w związku z praktycznymi rezultatami pomysłów dra Malcza, szerzej w tym przedmiocie publiczność naszą zapoznały.

---

† W Krakowie zakończył życie dr. Marceli Dobrowolski. Osiadły od lat kilkunastu w tem mieście — był bowiem rodem z Wołynia — umiał on sobie zarobić na powszechną cześć, i rzec można, że tylu miał przyjaciół, ilu znajomych. Graduowany na dra medycyny w fakultecie paryskim, nostryfikował się w Austrji i odtąd liczną miał w Krakowie praktykę. Śmierć dra Dobrowolskiego powszechny budzi żal między pacjentami, przyjaciołmi i znajomymi jego.

---

† W Krakowie umarł Feliks Zaremba, przeżywszy lat 72. Zmarły w młodym wieku służył w wojsku polskiem i odbył kampanję 1831 r. w drugim pułku Krakusów. Później przebył, jako przestępca polityczny pięć lat na Syberji w rotach aresztanckich. Wróciwszy z Syberji poświęcał się gospodarstwu wiejskiemu, a od lat kilkunastu zamieszkał stale w Krakowie.

---

† W Poznaniu zmarł przed kilku dniami August Kościelski, poeta i autor dramatyczny, brat Sefera baszy. Nabożeństwo żałobne za duszę zmarłego odbyło się w kościele OO. Bernardynów.

Plotki i nieplotki.

* Przed Naftulą:

— Zlituj się przyjacielu, za kogo ty wydajesz swoją córkę za mąż, przecież ten człowiek już dwie żony pochował w ciągu roku...

— Szczęśliwy! Oh gdybym ja taki dar posiadał...

* Franusiu! Franusiu! wrzasnęła w poniedziałek jakaś jejmość wychodząc z teatru.

— O co chodzi? — zapytał usłużny policjant.

— Oh, ja nieszczęśliwa!... Franuś wychodząc z teatru, gdzieś mi się zachachmęcił...

— Czy nie zna Lwowa?

— Nie zna niebożątko, wczoraj przyjechaliśmy z Mościsk..

— A wieleż ma lat pani malec?

— Dwadzieścia proszę pana.. oh ja nieszczęśliwa!

* Nauczyciel do ucznia:

— Co to jest cud?

— Nie wiem, p. profesorze.

— Gdybyś nagle zobaczył słońce w nocy, cobyś na to powiedział?

— Powiedziałbym, że to musi być księżyc.

— Ale gdyby cię zapewniano, że to jest słońce, — cobyś rzekł w takim razie?

— Rzekłbym, że to jest kłamstwo

— Ja, jak wiesz, nie kłamię nigdy. Otóż, gdybym ja sam ci oświadczył, że to jest słońce, — co powiedziałbyś wtedy?

Uczeń po długim namyśle:

— Powiedziałbym, że pan profesor jest pijany.

BEZ RODZINY

POWIEŚĆ

przez

HEKTORA MALOT

Przekład z francuskiego.

(Ciąg dalszy).

Lecz są chwile, w której serce lepiej widzi od najbystrzejszego wzroku, poznałem matkę Barberin, tak, to była ona, byłem tego pewny, czułem, że to była ona.

— A co — zapytał Vitalis — idziemy dalej?

— Och, panie, proszę cię.

— Więc to nie prawda, co mi mówiono, więc nie masz siły wcale, przeszliśmy taki kawałek, a ty już jesteś zmęczony, to mnie nie bardzo pociesza na przyszłość.

Lecz ja nie odpowiadałem, patrzyłem ciągle na drogę.

Tak, to była matka Barberin, jej biały czepek i niebieska spodnica. Szła szybkim krokiem, jak gdyby jej pilno było do domu. Popchnęła furtkę spiesznie, minęła podwórze.

Równocześnie zerwałem się na nogi, nie myśląc o Capim, który w tej chwili przyskoczył do mnie.

Matka Barberin nie długo bawiła w domku, wkrótce wybiegła ztamtąd i z wyciągniętemi rękami zaczęła biegać po podwórzu. Widocznie mnie szukała.

Pochyliłem się naprzód i z całych sił zacząłem wołać:

— Mamo! mamo!

Lecz głos mój nie miał siły dojść aż do niej i zapanować nad szmerem strumienia, bezskutecznie też rozpłynął się w powietrzu.

— A tobie co się stało — zapytał Vitalis — czy warjujesz?

Nie odpowiadając mu wcale, stałem z wzrokiem utkwionym w matkę Barberin, lecz ona nie domyślając się, że mogę być tak blisko, ani razu nie podniosła głowy do góry.

Przeszła podwórze, powróciła na drogę i patrzyła na wszystkie strony.

Ja znów wołałem, lecz i tym razem daremnie.

Vitalis domyślając się prawdy, stanął obok mnie i z łatwością dostrzegł także biały czepek.

— Biedne dziecko — szepnął półgłosem.

— Och. panie — zawołałem zachęcony temi słowami współczucia — pozwól mi wrócić.

Lecz za całą odpowiedź ujął mnie znów za rękę i wyprowadzając na drogę rzekł:

— No, skoroś już odpoczął mój chłopcze, to ruszajmy dalej.

Chciałem się wyrwać, ale trzymał mię mocno.

— Capi, Zerbino! — zawołał.

I psy wzięły mnie pomiędzy siebie. Zerbino szedł naprzód, Capi za mną.

Nie było rady, trzeba było iść.

Po chwili odwróciłem znów głowę. Minęliśmy szczyt góry, nie było już widać ani naszej doliny, ani domku, w dali tylko sinawe wzgórza podnosiły się ku błękitom, wzrok mój tonął w przestrzeni bez końca.

V.

W drodze.

Nie koniecznie trzeba być ludożercą, aby kupować dzieci po czterdzieści franków i zjadać je następnie. Vitalis nie chciał mnie połknąć. a nawet co jest rzeczą nader rzadką u handlarzy dziećmi, był to wcale nie zły człowiek.

Wkrótce miałem tego dowód.

Jak wspomniałem poprzednio, na samym szczycie góry oddzielającej dolinę Loary od doliny, w której płynie Dordogne, Vitalis ujął mnie za rękę i bezzwłocznie zaczęliśmy zstępować po pochyłości spuszczającej się ku południowi.

Po kwadransie puścił mnie swobodnie.

— Teraz — rzekł — idź obok mnie, ale pamiętaj, gdybyś chciał uciekać, Capi i Zerbino dopędzą cię zaraz, a mają ostre zęby.

Uciekać, czułem, że jest to już rzeczą niemożliwą, po cóż więc kusić się daremnie.

Westchnąłem.

— Ciężko ci na sercu — ciągnął Vitalis dalej — rozumiem to i nie mam ci wcale za złe. Jeżeli chcesz., możesz płakać swobodnie, tylko postaraj się zrozumieć, że to nie na twoje nieszczęście zabrałem cię z sobą. Bo cóżby się z tobą stało. Z pewnością oddanoby cię do podrzutków; ludzie którzy cię wychowali, nie są twemi rodzicami. — Przybrana matka, jak mówisz, dobrą była dla ciebie, kochasz ją i rozpaczasz rozłączając się z nią, wszystko to dobrze; ale rozważ tylko, czy mogłaby cię zatrzymać w domu wbrew woli męża? Ten mąż ze swej strony również może nie jest tak złym, jak sobie wyobrażasz. Ale nie ma z czego żyć, jest kaleką, nie może pracować i nie ma ochoty z głodu umierać, aby ciebie wyżywić. Zrozum to dziś już mój chłopcze, że życie częstokroć jest walką, w której nie zawsze robi się to, co się chce.

Zapewne były to słowa pełne mądrości a przynajmniej głębokiego doświadczenia, lecz w tej chwili był fakt przemawiający głośniej do mego umysłu nad wszystko, to jest — rozłączenie.

Miałem niezobaczyć więcej tej, która mnie wychowała, pieściła, mej ukochanej matki.

I myśl ta ściskała mnie za gardło, dławiła.

A jednak szedłem obok Vitalisa, usiłując powtarzać sobie w myśli jego słowa.

Wszystko było prawdą, co mówił. Barberin przecież nie był mym ojcem, dlaczegoż więc miałby się dla mnie narażać na większą jeszcze nędzę; niegdyś zabrał mnie i wychował, jeżeli więc teraz pozbywał się mnie z domu, to widocznie dlatego, że dłużej nie był w stanie dać mi utrzymania. — Myśląc o nim, powinienem był pamiętać o przeszłości, ale nie o dniu dzisiejszym.

— Zastanów się maleńki nad tem, co ci mówiłem — powtarzał od czasu do czasu Vitalis — zobaczysz, nie będziesz ze mną nieszczęśliwym.

Po zejściu z dość stromej góry, dostaliśmy się na płaszczyznę rozciągającą się, jak tylko oko mogło zasięgnąć równo i jednostajnie. Nie było tam widać, ani domów, ani drzew, gdzieniegdzie tylko kępy cierniowych krzaków i znaczne przestrzenie zarosłe karłowatym jałowcem, kołysały się lekko nad powiewem wiatru.

Zupełnie inaczej wyobrażałem sobie podróż i, jeżeli kiedy w mych dziecinnych marzeniach myślałem o opuszczeniu naszej wioski, to zawsze dla bardzo pięknych jakichś okolic, nie podobnych w niczem do tych, jakie mi przedstawiła rzeczywistość.

Po raz to pierwszy szedłem tak długo i bez odpoczynku.

Pan mój otoczony psami nie oddalającemi się, ani na chwilę od jego nóg, szedł równym, posuwistym krokiem, niosąc małpę na ramieniu, lub na podróżnym worku.

Vitalis od czasu do czasu przemawiał łagodnie do swych wychowańców kilka słów po francusku, lub w innym nieznanym mi języku.

Nie zdawali się oni czuć najmniejszego znużenia. Ale ze mną inaczej było zupełnie. Upadałem z trudu. Zmęczenie fizyczne połączone z moralnem cierpieniem, wyczerpało prawie do ostatka siły moje.

Wlokłem się z wysiłkiem, zaledwo mogąc nadążyć za niemi, a nie śmiałem prosić abyśmy się zatrzymali.

— To przez saboty tak się zmęczyłeś — rzekł Vitalis — w Ussel kupię ci trzewiki.

Słowa te dodały mi odwagi.

W istocie, posiadanie trzewików było jednem z mych najgorętszych pragnień. — U nas we wsi tylko syn wójta i syn oberżysty mieli trzewiki, to też w niedzielę przychodząc do kościoła, przesuwali się lekko po kamiennej posadzce, my zaś wszyscy chłopi, sprawialiśmy naszemi sabotami ogłuszający łoskot. (C. d. n.)

TEATR

Występy pani Modrzejewskiej. Nie ożywił się wprawdzie repertuar, bo sztuki, w których pani Modrzejewska występuje, są dadawno znane, ale faktem jest, że się ożywiła sala teatralna i... kasa. Od dwóch tygodni w teatrze lwowskim ścisk. W sali pełno osób: w fotelach, krzesłach i lożach, których się prawie nigdy w teatrze nie widzi, bo zwykle osoby te bywają zaledwie kilkanaście razy na rok w teatrze. Po trzech występach, o których w poprzedniem sprawozdaniu pisaliśmy, pani Modrzejewska grała: w „Naszych najserdeczniejszych", w „Marji Stuart", w Ślubach panieńskich" i w „Pannie Mężatce"; powtórzyła zaś występy: w „Adrjannie Lecouvreur", w „Barbarze Radziwiłłównie" i w „Dalili". W trzech komedjach: „Nasi najserdeczniejsi", „Śluby panieńskie" i „Pannie Mężatce", zeszła pani Modrzejewska z traicznego koturnu i odtworzyła postacie ze zwykłego, powszedniego życia. We francuskiej komedji rola Cecylji na wpół dramatyczna, właśnie z powodu tej połowiczności, posiada szkopuły, które tylko znakomity talent aktorki zwalczyć potrafi. Przypominamy sobie występ pani Modrzejewskiej w tej komedji w Warszawie. Dziś, kreacja Cecylji w grze pani Modrzejewskiej w niczem się nie różni od dawniejszej. O tej Cecylji pani Modrzejewskiej można powiedzieć, że w grze tej kobiety jest jakaś siła męska, a jednak, ani na sekundę kobietą być nie przestaje, a ileż tam było misternych szczegolików w traktowaniu roli, na które nawet publiczność nie zwróciła uwagi!...

Aniela w „Ślubach panieńskich", charakter tkliwy, niemal sielankowy — jest, jak wiadomo kreacją, którą pani Modrzejewska postawiła w komedji na pierwszem miejscu — dawniej rola ta nie zwracała na siebie żadnej uwagi, a podobno i sam autor nie przeczuł, czem się może stać ta postać ożywiona tchnieniem talentu znakomitej artystki. Wiemy o tem dobrze, że nikt dziś na polskich scenach tak nie odegra Anieli, jak pani Modrzejewska, ale wyznajemy szczerze, że przed kilku laty, Aniela pani Modrzejewskiej, miała w sobie więcej polskiej poetycznej jędrności, co bynajmniej nie przeszkadzało sympatycznej bierności i miękkości tego charakteru — dziś wydała nam się w grze tej artystki za... mglista... Za to w „Pannie mężatce" błyszczała pani Modrzejewska całą mistrzowską potęgą swojego talentu, a rodzimy charakter polskiej dojrzałej dziewicy, znalazł w pani Modrzejewskiej wykonawczynię, w całem tego słowa znaczeniu znakomitą i niezrównaną...

„Marja Stuart", w której pani Modrzejewska, jak wiadomo gra tytułową rolę, jest dla tej artystki rolą, w której wszystko, co pani Modrzejewska posiada najwznioślejszego i najpiękniejszego w swoim talencie, słupami jasnego światła olśniewa oczy i słuch zachwyconych widzów... W trzecim akcie, po scenie spotkania z Elżbietą, zimna, jak księgarz przeglądający arcydzieło w rękopiśmie, publiczność lwowska, nie mogła się utulić od oklasków — przytem spadły na scenę dwa bukiety, — jeden z loży namiestnikowskiej.

Artyści nasi, dzielnie wtórowali we wszystkich tych sztukach znakomitej koleżance. — W „Naszych najserdeczniejszych" obsada ról nie uległa zmianie z wyjątkiem p. Zboińskiego, który objął rolę po p. Dobrzańskim i grał dobrze i panny Turczynowicz, która małą rolkę po p. Walewskim z naturalną prostotą wyrastającego chłopca sympatycznie i z talentem oddała. P. Zboiński był też wyśmienitym majorem w „Pannie Mężatce". W „Marji Stuart" szczególnie dobrą grą odznaczali się pp. Zboiński i Woleński, pierwszy w roli hr. Szresbury, drugi w roli Mortimera. P. Ładnowski, jako Robert Dudley, okazywał widocznie dużo powściągliwości w grze, nie wiemy dlaczego. Królową Elżbietę grała pani Aszpergerowa. Nikt od nas bardziej nie czci talentu i nie szanuje przeszłości i zasług artystycznych pani Aszpergerowej, ale to nam właśnie nakazuje powiedzieć, że nie możemy sobie wytłomaczyć, jakim sposobem rola królowej Elżbiety dostała się pani Aszpergerowej? Obecna indywidualność tej wybornej i zasłużonej artystki, do takich ról zupełnie się nie nadaje... Dlaczego pani Nowakowska nie grała Elżbiety?

W „Ślubach panieńskich", było wszystko po staremu. Wybornie grał Gucia p. Kwieciński, a miał też tak dzielnego stryjaszka w p. Fiszerze, że mogło mu to humoru dodawać... Pani Parżnicka grała Klarę i pomimo takiego absorbującego towarzystwa, jak pani Modrzejewska w roli Anieli — pani Parżnicka piękną, inteligentną i energiczną grą, zdobywała nietylko huczne oklaski, ale nawet publiczność w czasie gry i po aktach wywoływała tę artystkę. Starannie bardzo grała Dobrucką pani Tomaszewiczowa, a p. Ładnowski, chociaż go w takich rolach niechętnie widzimy, grał Albina z... płaczliwym humorem.

Potoczne wiadomości teatralne. — Z Warszawy piszą do nas: Oczekujemy tu z niecierpliwością przyjazdu pani Modrzejewskiej, na występy której dyrekcja tutejsza rozpisała abonament, prawie w całości już rozchwytany. Z tem wszystkiem, pod względem materjalnym pani Modrzejewska w Warszawie niekorzystny robi interes. Przed laty, gdy artystka, wyjeżdżała do Ameryki nie mając już zamiaru powrócenia na scenę, zerwała kontrakt z dyrekcją warszawską — w umowie zastrzeżone było, że która ze stron zerwie kontrakt, płaci drugiej stronie 5.000 rubli; tym sposobem pani Modrzejewska pozostała dłużną powyższą kwotę warszawskiej dyrekcji. Gdy artystka przybyła teraz do Krakowa, dyrekcja warszawska w sposób natarczywy poczęła się u pani Modrzejewskiej upominać o 5.000 rubli, a w końcu przysłała do Krakowa p. Folanda, który oświadczył, że jeśli artystka nie zawrze umowy na występy w Warszawie w ten sposób, że dyrekcja potrąci sobie swoje 5.000 rubli, w takim razie poszukiwać będzie swojej należności aresztując wszędzie dochody artystce. Pod taką to presją zawarła pani Modrzejewska umowę z warszawską dyrekcją na 20 przedstawień po 400 rubli każde, ale za każdym razem z kwoty tej, artystka bierze tylko 150 rubli, a 250 rubli dyrekcja na umorzenie długu 5.000 rubli. Benefisu pani Modrzejewska nie ma w Warszawie żadnego, ale podobno urządzony będzie dla niej koncert deklamacyjno-muzyczny, który, można być pewnym, znaczny dochód przyniesie.

Królikowski powrócił na scenę i wystąpił po raz pierwszy w „Zbójcach". Co się działo w teatrze, jak go witali, doprawdy, opisać trudno... W sali teatralnej powstał formalny ryk!... Ale co najważniejsza, co się w żadnym może teatrze w Europie nie zdarzyło, że akademicy złożyli się i na pierwszy występ Królikowskiego z a k u p i l i cały paradyz, tak, że oprócz studentów uniwersytetu, nikogo tam nie było. Królikowski istotnie wiele swoim talentem przysporzył środków materjalnych dla uczącej się młodzieży — to też wdzięczność tej młodzieży dla artysty nie zna granic... Muchanów prezes dyrekcji, ze złości aż zachorował — nie cierpi on Królikowskiego, a pod presją opinji, musiał go powrócić na scenę warszawską.

Kronika zagraniczna.

Krach na domy. — W Berlinie, oraz Brukselli, gdzie gwałtownie budowano mnóstwo mieszkań stoi pustkami; to samo zjawisko notują dzienniki amerykańskie w Kalifornji. W San Francisco ceny kamienic spadły z pieca na łeb.

Obyśmy podobnego wypadku doczekali się we Lwowie.. byłaby to niewesoła sposobność dla właścicieli do obniżenia czynszów.

Niezwykły człowiek zakończył przed kilkoma dniami życie w szpitalu więźniów w Pradze czeskiej. Szymon Bajbok, tak się nazywał zmarły, rodem z gubernji warszawskiej, należał do najosławieńszych garoterów, czyli opryszków w Ameryce, gdzie znaczną część życia przepędził. Specjalnością Bajboka było napadać z towarzyszami swymi podróżnych kolejowych, u których spodziewał się znaleść łup obfity. Ofiary te, upatrzone na różnych linjach kolejowych, banda Bajboka zwykle pozbawiała życia za pomocą uduszenia postronkiem. Łotry po spełnieniu zbrodni zeskakiwali z pociągu w miejscach, gdzie maszynista zwolnić musiał bieg maszyny i uciekali z łupem, a następnie przebrawszy się tylko, jechali dalej z najbliższym pociągiem, znowu mordując i rabując. Nareszcie, gdy władze amerykańskie wpadły na trop zbrodniarzy, Bajbok, nie czując się bezpiecznym w nowym świecie, powrócił do starego, i prowadząc tu dalej swe rzemiosło w różnych krajach, dostał się do Czech, gdzie nakoniec doścignęła go ręka sprawiedliwości. Przez sąd w Chebie skazany został na ośmioletnie ciężkie więzienie, ponieważ w popełnionym wypadku morderstwa nie zdołano mu dostatecznie dowieść tej zbrodni. Po odbyciu tej kary miał być wydany rządowi unji amerykańskiej,

gdzie oczywiście byłby nie uszedł szubienicy, tymczasem już po pięciu latach więzienia zakończył życie po dłuższych cierpieniach na puchlinę wodną. Okropny ten człowiek pozostawił 16 000 złr. w gotówce, a przed śmiercią zawołał notarjusza i w obecności świadków sporządził testament. Nie pomyślał nawet w ostatniej chwili życia o naprawieniu krzywdy, jaką wyrządził ofiarom, ale postanowił zrabowanym majątkiem w ten sposób, iż siostrzeńca swojego, Chaima Wolfa w Płocku, rozporządził generalnym spadkopiercą swoim, podczas gdy własnego syna, żyjącego w Massachusets wydziedziczył; dalej zapisał 800 złr. zarządcy zakładu kary w Pradze, po 400 złr. lekarzom, drowi Slavikowi i dr. Plumercowi, po 300 złr., dwom adjunktom więziennym, znaczniejsze kwoty dozorcom i inspektorowi więzienia, a 200 złr. na upiększenie katolickiej kaplicy więziennej (Bajbok był izraelitą). Zegarek złoty z łańcuszkiem darował zarządcy więzienia.

We Florencji wydarzył się jedyny może wypadek w dziejach armji włoskiej. Żołnierz 11 bataljonu bersalierów, nazwiskiem Mariotti, jakkolwiek chory i niemogący pokoju opuścić, opierał się stanowczo odwiezieniu go do szpitala. Pewnego poranku wzięli go przecież towarzysze z łóżka i zanieśli go dla oględzin do lekarza. Jakież jednak było zdziwienie wszystkich, gdy lekarz orzekł, że żołnierz ten jest — kobietą!

Sylvia Mariotti, ze San-Ambrogio koło Turynu, mając liczne rodzeństwo, zaciągnęła się do armji w roku 1866 w czasie wojny z Austrją, żeby uwolnić od służby w wojsku swojego żonatego brata, ojca sześciorga dzieci.

Obdarzona niepospolitą siłą, pracowała przedtem w kopalniach w Górnym Piemoncie, a w chwili mobilizacji armji potrafiła zwieść oglądającego ją lekarza. Za świetne odznaczenie się pod Custozzą otrzymała medal, a po wojnie pozostała nadal w służbie.

Król dowiedziawszy się o tym wypadku nadał tej bohaterce krzyż, a poleciwszy ją natychmiast do rodziny, wyznaczył jej dożywotnią pensję w kwocie 300 lirów.

Nadesłane.

(257-1-1)

„Transylwanja".

Życie ludzkie jest znikome, a jednak odnośnie do rodziny nakłada ono święte i ciężkie obowiązki. Dla osób drogich naszemu sercu chcielibyśmy zapewnić przyszłość. Gdy śmierć odetnie nas od drogich sercu osób, dawniej nie było sposobu inaczej zapewnić rodzinie swojej przyszłości po śmierci, jak pozostawieniem im osobistego majątku, dziś postęp i cywilizacja doprowadziły do tego, że drobnym opłacaniem kwot na wypadek naszej śmierci, ci na których to jest przeznaczone, otrzymają z towarzystw asekuracyjnych zabezpieczone sumy do wysokości stosownie do życzenia. Wśród rozmaitych towarzystw ubezpieczenia na życie, istnieje towarzystwo „Transylwanja", z głównem siedliskiem w Sibinie, (Hermanstadt) a z polską filją we Lwowie, które pod względem finansowej odpowiedzialności i szerokich interesów, zasługuje na to, aby przez publiczność jak najbardziej z zaufaniem obdarzane było. Towarzystwo to posiada zakładowego kapitału 300.000 złr., dla tego radzimy, aby wszyscy, chcący zapewnić byt swojej rodzinie, zabezpieczali kapitały dla niej. Zabezpieczenia te mogą się odbywać na wszelki możliwy sposób, we wszelkich kombinacjach i stosownie do życzenia. Filja tego towarzystwa we Lwowie, przy ulicy Halickiej pod l. 36, wszelkie zlecenia, jak najsumienniej wypełnia. Filja ta znajduje się pod kierownictwem pana Budino, dawnego kierownika filji „Slavia". Pan Budino dawno osiadły w naszym kraju, i znany w szerokich kołach polskich, zasługuje istotnie na zaufanie, bo oprócz fachowych zdolności, jest człowiekiem prawym i szczerze życzliwym ziemi na której pracuje i z której żyje.

Nadesłane.

(258-1-1)

W miastach większych, jak Lwów, porządnie i z komfortem urządzone kawiarnie stanowią dla bardzo wielu przystań, w której po trudach codziennego życia, lub wśród takowych, z przyjemnością i umysłową rozrywką odpocząć można. We Lwowie największa, najpiękniejsza i najbardziej elegancko urządzona jest *kawiarnia Teatralna.* Jest to zakład równający się pod względem zalet najpierwszym tego rodzaju zakładom zagranicą. Obecny jego właściciel nie szczędzi ani kosztów, ani starań, aby prowadzić kawiarnię stosownie do najwykwintniejszych wymagań, dla tego polecamy ten zakład najusilniej i najsumienniej najszerszym kołom publiczności. *Kilkunastu z gości.*

Nadesłane.

Parę tygodni temu, otworzył pan Padewski sklep korzenny, oraz winny i wódczany w naszem mieście w Rynku w tej właśnie części, w której była istotnie potrzeba takiego zakładu, nowy właściciel powyższego sklepu, człowiek nietylko fachowo wykształcony, ale z wyższą nauką techniczną, jest także właścicielem piwnicy za Żółkiewską rogatką, z której wina, rumy i likwory na prowincje wysyła. Sklep pana Padewskiego urządzony jest z komfortem, a przedewszystkiem zaopatrzony tak bogato we wszelkie towary, że mało jest we Lwowie takich, które by mu mogły sprostać pod tym względem. Przytem każdy z gości i kuntmanów, uprzejmością gospodarza i całej obsługi, oraz wybornym towarem, rzetelną miarą i wagą tak jest ujęty, że kto raz tam zajrzy, niezawodnie stanie się stałym odbiorcą, kto powątpiewa, niech się przekona, a uwierzy prawdzie słów naszych. (259-1-1)

Nadesłane.

Od paru tygodni otworzył pan Wojciechowski przy ulicy Akademickiej l. 6. sklep korzenny, oraz winny i wódczanny. Nowy właściciel powyższego sklepu, człowiekiem jest rzetelnym, uczciwym, i tem sobie zjednuje publiczność. Sklep powyższy jest urządzony z całym komfortem i elegancją, przytem każdy, chcący się czemś posilić ma osobny pokój do różnych przekąsek. (260-1-1)

OGŁOSZENIA.

Odpowiedzialny redaktor i odpowiedzialny wydawca: Jan Chechliński. Z drukarni K. Pillera.